

Pionek. Krótka historia Ukraińca w Polsce

22 października 2018

Kiedy jedziecie Uberem, ciesząc się, że tak tanio, nie zastanawiacie się kim jest człowiek, który was wiezie, prawda? No to najwyższy czas.

Władimir jest z Ukrainy. Zachodniej, mniejsza o miasto. Znakomita większość mieszkańców tego regionu, gdy myśli o emigracji zarobkowej, wybiera kierunek na Polskę. Na chwilę czy na dłużej, jako kraj tranzytowy czy cel ostateczny – nieważne. Ważne, by tutaj zahaczyć się do jakiejś roboty, dzięki której można będzie utrzymać rodzinę, opłacić rachunki za drożący gaz i prąd, czasem uzbierać na operację lub szkołę dla dzieciaka. Różnie bywa. Władimir nie mówił, co konkretnie go tutaj przygnało. Dla niego istotne było to, by opowiedzieć, co się z nim stało.

On nawet nie to, że przyjechał, on został przywieziony przez swojego znajomego. Ten zapewniał, że ma dla niego doskonałą pracę: nowoczesny samochód, robota gwarantowana, w środku GPS i łączność z bazą na wszelki wypadek, ludzie tu w Polsce spokojni, ciepło, na głowę nie kapie. „Tyle zarobisz, ile wyjeździsz” – mówił, roztaczając wizje nieledwie rajskie.

I rzeczywiście zaczynało się dobrze. Trafił do firmy...

– Proszę cię bardzo, żebyś nie podawał nazwy tej firmy do pełnego wyjaśnienia sytuacji. Boję się, że jej właściciel, kiedy dowie się, że koło sprawy chodzą media, zniszczy wszystkie dowody na swoje działania. I uniknie kary, i Władimirowi zaszkodziś – mówił mi Witalij Mahinko, przewodniczący ukraińskiego związku zawodowego „Pracownicza Solidarność’”, który broni praw pracowniczych Ukraińców zatrudnionych w Polsce. Często z sukcesem.

Przypadek Władimira jest jednak trudny.

Schemat zatrudnienia wyglądał następująco: Uber podpisuje z daną firmą umowę o świadczeniu usług przewozowych. I z nią się rozlicza. Nie obchodzi go, na jakich zasadach firma wypłaca pensje pracownikom, nie obchodzą też relacje między pracodawcą a załogą. Ma działać, Uber daje swoją część oporządzenia w samochodzie, a czyj jest samochód, jak jest eksploatowanych, przez kogo i jak długo – nie jego sprawa.

Tak było i w tym wypadku. Władimir dostał samochód od firmy. Owszem, mówił mi, są tacy, którzy kupują samochód w Polsce, często na spółkę i z tym wianem przychodzą do firmy mającej umowę z Uberem. Ale skąd Władimir miał mieć pieniądze na choćby część wkładu w zakup pojazdu, kiedy u siebie w domu ledwie koniec z końcem wiąże? Przystał więc na takie warunki, jakie mu podyktowano. Mało tego, był jeszcze wdzięczny.

Rozliczenia wydawały się proste: za samochód płaci co tydzień właścicielowi firmy 600 złotych, do tego oczywiście za benzynę. I wozi ludzi, a to, co po odliczeniu zostaje, to jego.

Po miesiącu właściciel zakomunikował mu, że nie wyrabia normy, czyli, mówiąc inaczej, nie zarabia, a zadłuża się.

Obecnie, powiedział pan pracodawca Władimirowi, jesteś mi winien 1800 złotych. I ja zabieram ci paszport. Oddam, jak odrobisz to, co jesteś mi winien. I paszport zabrał.

Sytuacja jest kalką z opisów, jakich pełno na stronach organizacji zajmujących się walką z handlem ludźmi. Oto przyjeżdża ktoś w poszukiwaniu pracy. Na początek zabiera mu się dokumenty, żeby był zdany na łaskę zatrudniającego i komunikuje, że za podróż, zakwaterowanie i co tam jeszcze na starcie, jest winien jakąś, najczęściej niemałą sumę. I najpierw musi ją odrobić, żeby myśleć o poprawie swojego losu. Oczywiście nikt nigdy nie informuje współczesnych niewolników, na jakiej zasadzie obliczono ten dług, nie mówi się ani słowa

o zasadach rozliczeń. Ma pracować i nie zadawać pytań. Niepokornych się do posłuszeństwa zmusza.

W przypadku Władimira Polska okazała się krajem nad wyraz cywilizowanym – nikt go tutaj nie bił. Ale efekt był taki sam jak w Mauretanii, czy w innym kraju słynącym z niewolnictwa – człowiek, nie znający języka ani realiów kraju pobytu, nie mający nikogo, do kogo mógłby się zwrócić (znajomy, co go protegował, zniknął), bez dokumentów, zatrudniony nielegalnie, zastraszony, że jeżeli pójdzie na policję, to będzie miał zakaz wjazdu do Unii Europejskiej na najbliższe lata – czuje się kompletnie bezbronny.

I tak właśnie było w przypadku Władimira. Jedyne, na co potrafił się zdobyć, to przełamać strach i zadzwonić do oddziału związku zawodowego „Pracownicza Solidarność”, by opowiedzieć swą historię i tam szukać pomocy.

Dla Witalija Mahinko takie sytuacje, jak ta z Władimirem, to codzienność.

– Jestem w trudnym położeniu, podróżuję wciąż między Polską a Ukrainą, bo tam dbam o szkolenia pracowników przed wyjazdem do Polski, przygotowuję umowy między moim związkiem a dużymi firmami polskimi i zagranicznymi, w których najczęściej pracują Ukraińcy, a tutaj muszę przyjeżdżać jako prawie pogotowie, bo trzeba wyciągać ludzi z kłopotów, o których nawet już nie chce mi się opowiadać.

Władimir, w towarzystwie działacza związkowego i zgodnie z jego wskazówkami, pierwsze kroki skierował do komisariatu na ul. Wilczej. Policjanci najpierw uprzejmie się zdziwili.

– Pracujesz nielegalnie i jeszcze tutaj sam przychodzisz? – nie posiadał się ze zdumienia funkcjonariusz, mówienie na „ty” traktując widocznie jako formę obowiązującą wobec cudzoziemców ze wschodu.

Kiedy wreszcie zechciał nachylić się nad jego sprawą, to

rozłożył ręce i powiedział, że powinna być rozpatrzona przez komisariat w Piasecznie, tam bowiem Władimir miał kwaterę wtedy, kiedy jeszcze szef firmy nie zrobił z niego dłużnika.

Pojechał więc do Piaseczna. Tam, owszem, powiedzieli, że sprawą się zajmą, ale bez tłumacza (ani poszkodowany, ani Mahinko nie władają polskim na zadowalającym poziomie) to będzie trudne. A tłumacz, wyjaśnili szybciotko, będzie, ale dopiero jutro. Następnego dnia był, przetłumaczył co trzeba, a potem policja powiedziała, że trzeba czekać do poniedziałku. Był piątek.

– A teraz wyobraź sobie sytuację, że mamy do czynienia nie z Władimirem, który jak na razie porusza się samochodem firmowym, a ze zwykłym Mychajłą, który jest w takiej samej sytuacji, tylko bez mojej pomocy i opieki. Albo jakaś Olga, która nie ma dokumentów ani pieniędzy. Ani nie ma gdzie mieszkać. Co ma taki człowiek zrobić po wizycie w komisariacie? Nie, źle zadałem pytanie. Powinno być: co może zrobić? Odpowiedź brzmi: nic. On nawet przejechać z ulicy Wilczej do Piaseczna nie ma jak, bo nie ma, dosłownie, choćby 10 groszy na bilet. Na piechotę za daleko. Gdzie ma nocować? Co jeść? – Mahinko jest wyraźnie rozgoryczony.

Polskie państwo, tak szczycące się ustami Beaty Szydło przyjęciem „milionu ukraińskich uchodźców” ma pewnie mnóstwo swoich problemów. Ale kompletna obojętność jego organów wobec ludzkiej krzywdy i to w odniesieniu do ofiar przestępstw, jest kompromitująca. Bo rzeczywiście, łatwo sobie wyobrazić, że tak potraktowany człowiek, pozbawiony podstawowych środków do życia ma czekać 4 dni na mglistą dość formę pomocy. Co robi? Będzie żebrać?

To jeszcze najłagodniejszy wariant. Ale na trzeci dzień niejedzenia uderzenie kogoś w głowę cegłą, żeby zabrać mu pieniądze na żarcie lub odebrać siatki z zakupami może nie wydawać się aż takim strasznym przestępstwem.

Ja wiem, co powiecie: niech idzie do swojej ambasady, tam obowiązani są mu pomóc. No to proszę bardzo – kolejne kroki Władimira i Witalija Mahinko.

W ukraińskiej ambasadzie w al. Szucha kolejka kłębi się jeszcze przed otwarciem placówki. Ludzie przychodzą z mnóstwem problemów, a jeden bardziej skomplikowany od drugiego. Władimir, kiedy po 3,5 godzinach stania jakoś przepchał się do urzędnicze, dowiedział się, że oczywiście, może dostać dokument tymczasowy, nawet za trzy dni. Ale najpierw musi przynieść fotografię i zapłacić 175 złotych.

– Nie ma pan? No to trudno.

I koniec, cała aktywność państwa ukraińskiego zamknęła się tak, jak to okienko przed nosem Władimira. I tutaj też możemy usprawiedliwiać sąsiada faktem, że państwo tam praktycznie nie działa, sytuacja gospodarcza i polityczna jest co najmniej dramatyczna, drogi wyjścia mgliste, ale co to, przepraszam, obchodzi jednego Ukraińca drobnej postury, któremu polski pracodawca zabrał paszport i chce traktować jak niewolnika?

Kiedy Władimir powiedział, że jakoś przeczeka te kilka dni do kolejnego przyjazdu tłumacza na posterunek policji, Mahinko wrócił na Ukrainę. Potem zadzwonił do mnie.

– Możesz dać mu chociaż 100 złotych? Żeby do poniedziałku miał co jeść. Bo wszystkie instytucje odmawiają mu pomocy.

A potem, już po moim spotkaniu z Władimirem, stał się nieledwie cud. Jedna z instytucji, do której zwracał się ukraiński kierowca, odezwała się sama z siebie. Zapewniła nocleg i wyżywienie na te kilka dni. Sukces?

Nie. Do tego jeszcze daleka droga. Trzeba nie tylko odnaleźć i ukarać nieuczciwego zatrudniacza, który, jak się zdaje, świat dzieli na lepszych, czyli tych, co mają władzę dawania nędznej pracy, i gorszych czyli tych, co mają wykonywać bez szemrania polecenia tych lepszych. Mahinko deklaruje, że ukraiński

związek zawodowy nie spocznie, dopóki nie doprowadzi do ukarania nieuczciwego pracodawcy Władimira.

To oczywiście tylko początek. Trzeba też ze wszystkich sił pracować nad obroną praw pracowniczych wszystkich, którzy są ofiarami ich naruszania. Niezależnie od płci, narodowości, obywatelstwa, wyznania i czego tam jeszcze. System przestrzegania praw człowieka w Polsce wymaga ciągłego nadzoru i naprawy. A bez niego państwo jest nic nie warte.

Autorstwo: Maciej Wiśniowski

Źródło: Strajk.eu